Rok I. Lublin, 26 kwietnia 1925 r. № 17.



TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Ksiądz Stanisław Konarski.

Hieronim Konarski urodził się 30 września 1700 roku w Żarczycach, koło Jędrzejowa, w województwie sandomierskiem, w domu senatorskim, lecz niebogatym. Ojciec wkrótce został kasztelanem. Matka pochodziła z Tarłów.

Ukończywszy szkołę księży Pijarów w Piotrkowie, Hieronim, jako 15-letni młodzieniec, osierociały, wstąpił śladem dwuch starszych braci do nowicjatu pijarskiego w Podolińcu na Spiszu. Przyjąwszy zakonne imię Stanisław, — którem go odtąd nazywać będziemy, — przepędził tamże lat siedem: dwa, jako kleryk, pięć, jako braciszek i nauczyciel poetyki i wymowy. Wybitne jego zdolności zwróciły nań wcześnie uwagę starszyzny zakonnej, toteż prowincjał przeniósł go w r. 1722 do wyższej szkoły warszawskiej, gdzie w ciągu trzechletniego pobytu zyskał rozgłos biegłego poety łacińskiego. Biskup poznański, Tarło, brat matki Stanisława, wysłał zdolnego siostrzeńca swego do Rzymu, aby tam uzupełnił wykształcenie w najlepszych zakładach naukowych, prowadzonych przez księży Pijarów.

Cztery lata przebywając w Rzymie, tam, w szkole wyższej posiadł nauk wiele, dotychczas mu znanych niedostatecznie. Nadto jeszcze sposób prowadzenia szkół tamtejszych inny, aniżeli polskich, obudził w nim myśli bardzo dla narodu w przyszłości szczęśliwe. Bo oto rozważając wpływ szkoły na urabianie umysłu, serca i charakteru w uczniach, Konarski sam w sobie chwycił się myśli nowej: czyby nie należało w Polsce „dokonać reformy (odmiany, naprawy) oświaty narodowej".

Ta nowa myśl już nigdy nie zgasła w ks. Stanisławie. Owszem, wprędce stała się wyrazistą, uzupełnioną wielu wiadomościami i doświadczeniami. Przekonywa ona dowodnie, że ks. Konarski miał w sobie wielką zdatność na wychowawcę, ale też i gorące umiłowanie swego narodu, gdyż pragnął przez udoskonalenie sposobu nauczania — wzmocnić ducha w narodzie, uzdolnić go do pomyślniejszej egzystencji. Bo bystrem okiem dostrzegł wiele złego w swoich rodakach. Przewidywał boleśnie, że złe wady, szybko w narodzie rosnąc, — mogą doprowadzić go do strasznej hańy i zguby!

Ukończywszy szkoły w Rzymie, wyjechał stamtąd 1729 roku, kiedy już miał lat 29. Jednak nie zaraz podąża do kraju ojczystego. Pragnie bowiem jeszcze zbadać stan wychowania i oświaty w różnych państwach i w tym celu udał się do Francji, Niemczech, Austrji, nawet zwiedził weneckie zakłady naukowe. Półtora roku zeszło mu na tych wędrówkach, z których przywiózł do Polski mnóstwo nieoszacowanych spostrzeżeń, uwag i wskazówek!

Tak długo a mozolnie przygotowywał się do spełnienia prac wychwawczych, które uczyniły go mężem niezmiernie pożytecznym dla narodu polskiego.

Wróciwszy z zagranicy ks. Stanisław narazie rzucił się do najpilniejszych zajęć politycznych. Między innemi zgromadził całe ustawodawstwo polskie w jeden zbiór, zwany „Volumina legum." Potem napisał książkę p. n. „O skutecznym rad sposobie," w której podał rodakom myśli rozumne, jak trzeba rządzić państwem, — oraz wytknął w narodzie polskim zgubne wady polityczne i moralne.

Ale głównem jego zadaniem była poprawa sposobu wychowania młodzieży, w której słusznie widział przyszłość narodu.

Przygotowawszy sobie kilku nauczycieli pośród zdolniejszych pijarów, mając przytem sporo książek, odpowiednich do nauczania młodzieży, otworzył nową szkołę średnią dla dzieci rodzin najzamożniejszych. Uczynił to w tej myśli, że kiedyś te dzieci, gdy już dojdą do lat starszych, zpewnością wstąpią do służby publicznej, wejdą do urzędów wyższych, odpowiedzialnych! Trzebaż przeto zawczasu przygotować ich tak, iżby umieli i chcieli być najlepszemi obywatelami, pracującemi nadewszystko dla dobra ojczyzny!

Szkoła jego, zwana Kollegjum, założona w Warszawie, przy ulicy Długiej, prowadzona była bardzo surowo. Ustanowiony został nad młodzieżą dozór najstaranniejszy każdej chwili dnia i nocy. Nie wolno było dzieciom opuszczać lekcji, wychodzić z konwiktu (t. j. z domu szkolnego, gdzie wszyscy uczniowie razem mieszkali pod nadzorem księży pijarów) wieczorem, nawet wyjeżdżać na święta, lub na wakacje. Przez siedem lat, — pisze Stanisław Kot, profesor uniwersytetu jagiellońskiego, — a jeśli kto korzystał z kursów prawniczych, to i dłużej, trzymał konwikt wychowanka w najściślejszej opiece i oddziaływał nań wszelkiemi środkami moralnemi i umysłowemi, aby zeń wychować człowieka i obywatela w myśl ideałów, zamiarów Konarskiego.

Przy tak ścisłym nadzorze musiała się zmniejszać ilość przewinień. Jeśli się jednak zdarzają i muszą być karane, ostrzegą ks. Konarski. aby nigdy nie karać w gniewie, oraz strzedz się kar cielesnych. Nawet jest tego zdania, aby za żadną przewinę, choćby ciężką, nie uciekać się do bicia, o ile upór, zuchwałośc, złośliwa krnąbnośc nie uczyni przewiny godną takiej kary.

Jakie ideały przyświecały pracy ks. Konarskiego nad wychowaniem młodzieży polskiej, poucza nas najdokładniej jego „Mowa o kształtowaniu uczciwego człowieka i dobrego obywatela",—którą wygłosił wobec wielu osób znakomitych w r. 1754,—a w której wypowiedział, do jakiego celu zmierza w swej edukacji młodzieży szkolnej.

Temi słowy ks. Konarski zakończył swoję mowę.

„Może się dziwicie, że nie napomknąłem w swej mowie ani jednem słowem o nauce języków, ani wymowy, o sztukach i naukach ścisłych, ani też o tem wszystkiem, co należy do dobrej edukacji fizycznej,... lecz chyba ani na chwilę nie powątpiewacie, iż **więcej zależy państwu na uczciwych ludziach i dobrych obywatelach,** aniżeli na wielkich mówcach, poetach, matematykach i filozofach: w tych ostatnich widzimy bardzo piękne, zaiste, i konieczne ozdoby wychowania, w **kształceniu** zaś **młodzi... na ludzi uczciwych i dzielnych obywateli ku chwale boskiej, a chlubie i podporze ojczyzny, widzimy całkowity i naczelny cel wychowania!"...**

Ks. Konarski — nadmienia profesor Kot—był głęboko religijny i przytem uważał religję za najskuteczniejszy środek umocnienia człowieka pod względem moralnym, toteż nadawał wychowaniu podstawę religijną, „od samej bowiem tylko religji—uzasadniał —wszystko jest zależne i nic rozum ludzki, nic wszelka filozofja, etyka i polityka nie posiada tak skutecznego do prowadzenia ducha ludzkiego ku cnocie, a odstraszenia od występków, jak siła religji".

Po religijności główne miejsce w rzędzie cnót uczciwego człowieka przyznawał ks. Konarski sprawiedliwości ze względu na życie społeczne, najbardziej znów wychowawczą doniosłość przypisywał cnocie posłuszeństwa.

Wychowanie dobrego obywatela było wówczas już często roztrząsane przez wychowawców francuskich, angielskich, niemieckich, jednakże ks. Konarski wydobył z siebie w tej mierze więcej, aniżeli zawdzięczał obcym wzorom. W czemże streszczać się mogły w ówczesnej Francii, Włoszech lub Niemczech cnoty obywatelskie? — W ślepem posłuszeństwie rozkazom monarchy.

Inaczej było w Polsce, której los zależał od stopnia posiadanych w każdym poszczególnym obywatelu takich cnót, jak: miłość ojczyzny, sumienność w urzędach, ofiarność na potrzeby kraju, bezinteresowność, poszanowanie praw obowiązujących.

Ks. Konarskim w jego pracy wychowawczej głównie kierował wzgląd na ojczyznę, **pragnienie poprawienia jej losu przez lepsze wychowanie młodzieży na dobrych obywateli.** Toteż gdy dotyka tej sprawy, wymowa jego zapala się, a pojęcie dobrego obywatela wypełnia się szczegółami wyraźnie pożytecznemi.

Wierność, szacunek i posłuszeństwo władzom i prawom ojczystym, chetna i całkowita uległość urzędom — to winna być, jego zdaniem, cecha zasadnicza dobrego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Za nią idzie długi szereg cnót szczegółowych: spełnianie obowiązków względem rodziców, przodków i służby; sumienność w wypłacaniu najemników, rzemieślników i sług; punktualność w spłacaniu długów, wierność w dotrzymaniu kontraktów i ugód sądowych, unikanie długów, staranność w zarządzie majątkiem własnym i powiekszanie ojcowizny, pilność w nadzorze pracowników i sprawdzanie rachunków,

liczenie się z dochodami w wydatkach wszelkich, sumienne wypłacanie danin i podatków państwowych, gotowość bronienia ojczyzny, religji własnym orężem i mieniem, **wystrzeganie się gwałtów, rabunków i rozpusty na wojnie, unikanie gry, pieniactwa i pijaństwa — oto najważniejsze z długiej listy szczegółowych warunków, które stawia ks. Konarski dobremu polakowi!..**

Żaden z polityków, — słowa prof. Kota,—ubolewających nad moralnym rozkładem i upadkiem umysłowym ówczesnego społeczeństwa polskiego (zwłaszcza w drugiej połowie 18 stulecia), nie próbował szukać zaradzenia złemu na drodze wychowania. Brak im było nietylko potrzebnej do tego energji, ale przedewszystkiem brak było zrozumienia, jak potężna być może rola szkoły i wychowania w życiu społecznem i narodowem.

— Dajcie mi w ręce wychowanie ludzkości, a przemienię świat! — Tak raz wyraził się wielki filozof niemiecki, Leibnitz.

Ks. Konarski tę prawdę doskonale odczuł u nas, w Polsce, pierwszy i na okres całego jeszcze pokolenia jedyny!

„Odwieczne doświadczenie — mówi ks. Konarski — oczywiściej jeszcze, aniżeli świadectwa wszystkich mędrców poucza nas, że całkowite szczęście każdej społeczności polega na tych dwuch węgłach: **na roztropności tych, co rządzą i na starannem wychowaniu młodzieży... Owszem, dobre wychowanie zazwyczaj zdolne jest poprawić nawet niektóre wady przyrodzone".**

Zgodnie z takiem przekonaniem sam ks. Konarski cześć swego wysiłku poświęcił na wyuczanie roztropności tych, którzy wówczas rządzili Polską, — drugą część swego wysiłku obrócił na urządzenie starannego wychowania młodzieży pod względem zarówno religijno-moralnym, jak i społeczno-politycznym.

Nauczycielom takich udzielił wskazówek:

„Niech jaknajczęściej, bezustannie wsączają w chłopców miłość ojczyzny, poszanowanie jej i najwyższe ku niej przywiązanie, tak, aby już od dziecińs twa zaczęli pojmować, co to jest ta miłość ojczyzny, tak usilnie im zalecana, jak słodkie jest do niej przywiązanie, co winni są ojczyźnie, co zawsze dla ojczyzny czynić powinni, jak pilnie kształcić się na dobrych obywateli."

A zaś uczniom swej szkoły takie daje przepisy;

„Aby często tę, dla której zrodzeni są, sobie na pamięć przywodzili — ojczyznę, onej miłością z młodych lat pałać poczynali, a jej nadziei o sobie powziętej odpowiadając, dobrowolnie do pięknych obyczajów i do godnego wielkich ojczyzny synów sposobili się życia naukami, tudzież aby na pożytecznych Polski formowali się obrońców i podpory"...

Tak pieknych i rozumnych przepisów wówczas nie znało żadne inne ustawodawstwo szkolne w chrześcijańskiej Europie.

Aby pouczanie nie kończyło się wraz z szkołą —nadmienia profesor Kot — zalecał ks. Konarski jaknajusilniej **wyrobienie w młodzieży zamiłowania do czytania książek,** któreby stać się powinno sposobem doskonałym dalszego nabywania wiedzy i uzupełniania wychowania obywatelskiego i moralnego.

„Między największemi tutejszej edukacji pożytkami ten się jeden kładzie, —, pisze ks. Konarski,— żeby młodzi uczyli się i wzwyczajali w czytanie prywatne (po za lekcjami obowiązkowemi) dobrych książek i żeby do czytania onychże ochoty i skłonności nabrali, nie do ladajakich książek, jakich jest podły rodzaj Romanse, albo insze bezbożne i cnocie i religji przeciwne książki, których przez sumienie czytać się nie godzi, które wiarę i obyczaje psują, ale książek moralnych, politycznych i historycznych, do literatury i wszelkich nauk należących".

Każdy też profesor obowiązany był podawać wychowankom obszerne wskazówki o dobrych książkach w zakresie swojej specjalności, bibljoteka szkolna musiała być w nie zaopatrzona, każdy młodzieniec zachęcany i do czytywania i do nabywania sobie na własność, zwłaszcza pisarzów historycznych— i zdawania sprawy, przy stole, z ciekawszych książek przeczytanych.

Jak ks. Konarski nie pomijał żadnej sposobności, dogodnej do wpojenia nietylko w młodzież, ale i w starszych wiadomości o pilniejszych potrzebach ojczyzny i o wadach polaków, narażających ją na wielkie szkody, świadczy między innemi popis szkolny, urządzony w Kollegjum roku 1757, na którym studenci wygłosili wobec wielu osób, zaproszonych na tę uroczystość, ułożoną przez ks. Konarskiego „Rozmowę o uszczęśliwieniu własnej Ojczyzny", zawierającą w dziesięciu mowach zupełny program reform politycznych Rzeczypospolitej Polskiej. Kolejno każdy mówca uzasadnił konieczność poprawy w dziedzinie, która się jemu najważniejszą wydawała. Była tam więc mowa o ulepszeniu i przestrzeganiu praw państwowych, — o poprawie powszechnej edukacji, — o powiększeniu wojska, — o podniesieniu gospodarswa publiczego, — o zaludnieniu kraju, — o ochronie ludu, — o ożywieniu handlu i przemysłu, — o reformie waluty, — o podniesieniu gospodarki w prywatnych majątkach, — o poprawie wymiaru sprawiedliwości, — o uporządkowaniu administracji, — o zgubności liberum veto (niepozwalam), — o konieczności reformy sejmowania, wreszcie o szanowaniu religji.

Już choćby tak krótkie wzmianki o mowach, wygłaszanych przez młodzież szkolną, dają nam pewność, że ks. Konarski umiał uczniów swoich nakłonić do wglądania w różne potrzeby ojczyzny i zarazem przyspobić ich do zaspokojenia tych potrzeb po obywatelsku: uczciwie i pilnie! - Tak w swej szkole przygotował duży zastęp młodzieży, która, doszedłszy wieku dojrzałego, już za czasów Stanisława Augusta, podejmowało się pracy nad odrodzeniem Rzeczypospolitej Polskiej. Przytem godzi się nadmienić, że dwaj właśnie najwybitniejsi tego odrodzenia przywódcy, współtwórcy Konstytucji 3 maja, bracia: Ignacy i Stanisław Potoccy, byli wychowankami kollegjum ks. Konarskiego.

Ks. Stanisław Konarski — pisze o nim inny profesor uniwersytetu, Ignacy Chrzanowski, — był „piękną duszą" w całem znaczeniu tego wyrazu: głęboki rozum łączył ze szlachetnem uczuciem, szlache-

tnemu uczuciu towaszyszyły zawsze szlachetne czyny, a ich głównem źródłem i celem była gorąca i rozumna miłość kraju, któremu oddał na służbę wszystkie zasoby swego umysłu, serca i żelaznej woli. **A poczytywał tę służbę za prosty obowiązek człowieka-obywatela.**

Czy to nie szczyt skromności? — pyta profesor Chrzanowski. — Był zaś takim ks. Konarski nie tylko w słowach, lecz i w życiu. On, pochodzący ze starożytnej i znakomitej rodziny, trzymał na wodzy odziedziczoną po przodkach ambicję, nie piął się do zaszczytów, trzykrotnie nie przyjął ofiarowanego mu biskupstwa, nie miał innej dążności prócz tej: **żeby wiernie służyć ojczyźnie: żeby wychować dla jej dobra jaknajwięcej obywateli uczciwych i pożytecznych!..** I — żeby za to wszystko **„nikt mu nic nie był winien"...**

I to własne jego wyrażenie daje każdemu rodakowi do zrozumienia, jak rzetelną posiadał ks. Konarski dzielność moralną w charakterze swoim. Był wielkim miłośnikiem ojczyzny i bardzo mądrym wychowawcą młodzieży. Rozumiał, gdzie tkwi najgroźniejsze zło, trapiące naród i zapowiadające mu zgubę haniebną: **w braku dostatecznej siły moralnej!**

Otóż, dostrzegłszy to zło, ks. Konarski, doskonale przygotował się do walki z niem. Naprzód nabył sam dla siebie niezbędną wiedzę i moralną moc potężną w swoim charakterze. A potem dopiero zabrał się do wychowywania młodzieży polskiej w dobrze urządzonej szkole własnej. Jeszcze starczyło mu życia dużo na to, ażeby swoje zamiary wykonać chwalebnie i skutecznie. Żył bowiem 73 lata! Spory zastęp uczniów dobrych wyszedł z pod jego wychowawczej pracy. A ci jego wychowankowie wprędce zajęli różne urzędy i stanowiska społeczne, oraz narodowe w Polsce. Wszędzie odznaczyli się rozumem i uczciwem spełnianiem swoich obowiązków publicznych. Przyczynili się do stworzenia niejednej pracy wspaniałej i przeogromnie pożytecznej, jak Komisja Edukacji Narodowej, a potem Konstytucja Trzeciego Maja.

Zamało było tych dawnych uczniów ks. Konarskiego na to, żeby ocalić Polskę od najazdu na nią trzech jej sąsiadów drapieżnych, bo na to było już zapóźno, — ale już dosyć dużo ich było na to, żeby zapoczątkować narodowe dzieła najlepsze, które wobec świata całego zaświadczyły, że, jakkolwiek państwo polskie zostało zdruzgotane przemocą sąsiadów, jednak naród polski nie poddał swego ducha wrogom, żyć będzie ciągle i pracować nad udoskonaleniem siebie moralnem i umysłowem, aż doczeka tej chwili, kiedy sam z pomocą sprawiedliwości Bożej Polskę swoję wyzwoli z kajdan niewoli!

Do wywołania w duszy narodu polskiego takiego postanowienia, takiej mocy woli i takiego rozmachu do pracy długiej, mozolnej i mądrej nad ocaleniem siebie, a wydobyciem Polski, jako państwa, z jarzma napastników, — w bardzo znacznym stopniu przyczynił się ks. Konarski swemi pracami wychowawczemi.

Pomyślnem dokonaniem tak trudnej roboty ks. Konarski zdobył u swego narodu zasługi wielkie. Wszelakoż dla siebie za nie żadnej nie pragnął nagrody, więc „żeby nikt mu nic nie był winien...."

Narazie można w tem wyznaniu dostrzedz odrobinę dumy szlachetnej i przeświadczenie o swoich zdolnościach i zaletach. . Lecz tylko narazie,— bo po dłuższej nieco rozwadze nic innego nie okaże się w tem wyznaniu, jak **bezinteresowność** obywatelska.

Spełnił pracę pożyteczną, na jaką go stać było —i jaką **powinien był spełnić!** Ponadto nic więcej!..

Wszakże każdy obowiązany czynić dobrze wszystkim, a szczególnie tym, których miłuje i od których wiele doznał dobrodziejstw. A któż nam więcej wyświadczył przysług, jeśli nie naród nasz własny?— Czyniąc jemu dobrze, tylko oddajemy to, co otrzymaliśmy od niego!.

Czy przeto godzi się za dobre uczynki nasze wymagać od narodu jakichciś osobliwszych nagród, wdzięczności szumnej, czołobitnej i wielosłownej?

Otóż niepożądanie takich nagród jest chwalebną bezinteresownością i niezawodnym znakiem dobrego wychowania moralnego.

Rozumie sie, kto mało dobrego czyni, lub zgoła nic, ten i bezinteresowności mieć chyba nie może. Ale im kto większe świadczy przysługi swemu narodowi, a przytem odznacza się prawdziwą bezinteresownością, ten, zaiste, ozdobił swój charakter przepiękną dzielnością moralną!

Takim mistrzem był ks. Konarski. Mógł przeto skromnie o sobie powiedzieć, że nie pragnie, by mu ktokolwiek był co winien wdzięczności...

Poprzestawał na nagrodzie nieba i własnego sumienia, które mówiło mu tylko to, co sam naród mniemał o nim, a co historja narodu polskiego wyraziła w tych zaszczytnych i radosnych dla ducha ks. Konarskiego słowach:

„mąż dla Polski opatrznościowy".

Tak profesor Kallenbach streścił głos historji Polski o zasługach dla narodu księdza Stanisława Konarskiego.

Przekonał bowiem swój naród o wpływie, jaki ma na ustalenie jego losu pomyślnego staranne wychowanie moralne młodzieży, podał do tego sposoby niezawodne, a nawet wyjaśnienie, co jest ważniejszem w wychowaniu: nauka, rozum, serce, czy też dzielny charakter moralny?

I temu ostatniemu przyznał pierwszeństwo w troskach rodziny i szkoły o dobre wychowanie dzieci...

Za te zasługi naród cały po wszystkie czasy mile wspominać będzie ks. Konarskiego!

Oczywiście, taki dać narodowi swemu pożytek — to już to jedno przeświadczenie stanowi wielką nagrodę moralną, uszczęśliwiającą dobrego polaka!..

Rychlej się uczeń u tego mistrza nauczy, na którego robotę patrzy, niżli u tego, który o robocie mówi.

Ks. Piotr Skarga.

Kto silniejszy?

Hej, na górze wyniosłej zamek sterczy wysoki,
Stopy myją mu fale, głowę czeszą obłoki.
Nad nim złota chorągiew igra z wiatrem powiewna,
A w tym zamku król wielki, a w tym zamku królewna.
„Hej, rycerze, kto siłę z was największą okaże,
Temu konia bachmata i rynsztunek dam w darze,
I sokoła z kapturem i puhary złocone
I połowę królestwa i mą córkę za żonę!"
A więc jeden poskoczył i ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła, wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi poskoczył i nie długo się bawił,
I na miejscu wyrwanej drugą skałę postawił...
Król sędziwy wyrzecze: „Siła w obu was równa,
Więc którego z was zechce, niech rozsądzi królewna
Jak malina dzieweczka schyla modre oczęta:
„Burzyć, ojcze, rzecz sporna, lecz budować—rzecz święta.
Komu oddać mą rękę, ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo monarsze niechaj wagę przechyli!"
Król z łzą w oku spogląda na obydwuch rycerzy,
„Który skałę postawił, temu dank mój należy...
Tyś, witeziu, silniejszy, niż najwięksi mocarze,
A więc tobie bachmata i rynsztunek dam w darze...
I sokoła z kapturem i puhary złocone
I połowę królestwa i mą córkę za żonę".

Bolesław Czerwieński.

Co rozumem i pilnością i cnotą stanęło, to się nierozumem i niedbałością i złością ludzką obala.

Ks. Piotr Skarga.

Dobrowolni nędzarze.

Czy są między nami nędzarze **dobrowolni?**

To chyba jakaś omyłka? — Przecież nikt nie chce dobrowolnie skazać siebie na nędzę!

Niby tak, — a jednak, doprawdy, mamy wpośród siebie mnóstwo nędzarzy dobrowolnych i — nawet liczba ich powiększa się ciągle.

Jak się to dzieje?

Najzwyczajniej w świecie — przy pomocy pożarów...

A no tak! Pożar czyni ludzi nędzarzami... A że ludzie chcą pożarów, niejako lubią je, pożądają, nawet je wywołują, więc, oczywiście, słusznie powiadamy, że pogorzelcy stają się nędzarzami dobrowolnie...

Czy tak?

Ależ to nasze twierdzenie chyba jest tylko żartem nieprzyjemnem?

Bynajmniej! Obstajemy przy swojem zdaniu, że pogorzelcy są tylko **dobrowolnemi nędzarzami.**

Bywają nieszczęścia nieprzewidywane, nieuniknione, niezależne od woli tego, który ich doznaje, np. wojna, piorun, morderstwo, przypadkowe kalectwo z powodu, dajmy na to, pośliznięcia...

Ale bywają też innego rodzaju nieszczęścia... przewidywane, nawet łatwe do uniknięcia, a wynikające zazwyczaj z marnotrawstwa, pijaństwa, rozpusty, **nieostrożności, niedbalstwa, bezmyślności, lekkomyślności i mazgajstwa...**

Otóż bacznie wpatrując się w początki wielu pożarów i dalszy rozwój ognia, swobodnie ogarniające go coraz więcej zabudowań, doprawdy, trzeba to żywiołowe nieszczęście zaliczyć niemal przeważnie do rzędu nieszczęść dobrowolnych, pochodzących nietylko z naszego niedbalstwa, ale i z bardzo nagannej lekkomyślności.

Musi ogół polski **stać się surowym sędzią** nad poszczególnemi pogorzelcami, jako **dobrowolnemi nędzarzami.**

Ogół polski ma nietylko prawo, ale i obowiązek być sędzią bardzo surowym!

Bo pogorzelcy wyciągają ręce błagalne o pomoc, o ratunek!

Bo wreszcie straty olbrzymie niezmiernie **ubożą cały naród.**

Gdy, dajmy na to, spaliły się Ryki, to już straty mieszkańców Ryk muszą wpłynąć niekorzystnie na interesy materjalne i moralne całego narodu. Bo weźmy pod uwagę tylko jałmużny, nadsyłane z całego kraju tamtejszym pogorzelcom. A przecież te jałmużny to nie drobnostka! Tam utoną setki tysięcy złotych! Skąd one się wezmą? Kto je nadsyłać będzie? czy sami tylko bogacze?

Nie. Mnóstwo rodzin niezamożnych podzieli się z pogorzelcami ostatnim grosikiem swoim, ujmie sobie od **potrzeb niezbędnych,** a poratuje nędzarza... dobrowolnego!

To jedna już olbrzymia strata społeczeństwa.

A druga jest w spalonych budynkach, sprzętach domowych, inwentarzu, plonach.

Ten majątek spalony — to majątek nietylko pogorzelców, ale i całego narodu. Cały naród stał się uboższym o tyle, ile warte były rzeczy spalone i ile one przynosiły pożytku.

Już ich niema, już po nich popiół został. A kiedy one istniały w niezłym stanie, to pomagały mieszkańcom płacić podatki na potrzeby kraju i społeczeństwa, pomagały czynić różne ofiary, pomoce, pomnażały pracę powszechną, podnosiły powszechny dostatek, zadowolenie, pomyślność.

A trzecia strata — to z powodu pożaru, który zniszczył wiele rzeczy pożytecznych, trzeba dać pogorzelcom obfitość nowych materjałów na budynki, inwentarz i inne sprzęty. A przecież materjały, dane pogorzelcom, przydałyby się ludziom młodym i dzielnym, dopiero stającym do pracy, pragnącym zapomogi, zdolnym do wytworzenia nowych warsztatów.

Warto jeszcze wspomnieć o czwartej stracie... moralnej, którą ogół ponosi z powodu każdego pożaru. Tę stratę moralną można tak wyrazić:

Gdy ogół ogranicza się **tylko** na ubolewaniu nad nowem nieszczęściem i na udzielaniu jałmużny pogorzelcom, mniemając, że już w ten sposób spełnił **cały swój obowiązek** względem pogorzelców, to sam niejako w dalszym ciągu utrzymuje łatwość powtarzania się takich nieszczęść...

A więc ogół również moralnie przyczynia się do wybuchu częstych pożarów?

Chyba.

Bo zechciejmyż na chwilę przypatrzeć się odpowiedzialności moralnej pogorzelców.

Czy oni są odpowiedzialni przed swoim ogółem, do którego kieszeni i serca znają drogę i im się zdaje,

że mają prawo żądać pomocy, rychłej i wielkiej?

Owszem, jeśli w nieszczęściu mają prawo do pomocy ogółu, — to w równym stopniu i ogół ma prawo rozpoznać odpowiedzialność moralną pogorzelców za wynikłe nieszczęście.

Gdyby wszyscy mieszkańcy, zwłaszcza przebywający w budynkach drewnianych, zgóry wiedzieli, że społeczeństwo wprawdzie jest litościwe i ofiarne, ale zarazem surowe i skrzętnie bada stopień winy pogorzelców, to, niewątpliwie, byliby ostrożniejsi i bardziej dbali o założenie u siebie własnej doskonałej, a więc nie bylejakiej, straży ogniowej...

Dużą zachętą do opieszałości bywa cicha, skryta nadzieja, że... jednak „jakoś to będzie", ogół litościwy zrobi składkę, sypnie sporo grosza i po krótkiem biadowaniu pogorzelcowi będzie lepiej po ogniu, niż—przed nim było!..

I, doprawdy, nieraz tak się działo, szczególnie bardzo zaradnemu pogorzelcowi. Wiedział, gdzie, jak i o co prosić. Dostał drzewa, słomy, ziarna, odzieży, artykułów spożywczych — i wreszcie dość grosza na zapomogę, a taką obfitość wszystkiego, że wnet stał się właścicielem budynków okazałych, wygoił rany straszne — i, pocichu, kto wie czy nawet nie błogosławił pożaru, który mu „dobrze zrobił", czyli, jakoby sprawdziło się na nim stare przysłowie, dość zagadkowe: „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło!"

Zresztą, przypuśćmy, co jest bardzo prawdopodobnem, że tak pomyślny obrót rzeczy przytrafia się niezmiernie rzadko, a zazwyczaj każdego pożaru skutki dla pogorzelców bywają okropne, — to jednak społeczeństwo całe, chcąc być sprawiedliwem bezstronnie, rzetelnie, musi wyrazić w swojej opinji o pogorzelcach wyrok dla nich nader surowy.

Najsłuszniej!

Tak!

Wszyscy pogorzelcy to nędzarze dobrowolni!

Czy nie zasurową wyrażamy opinję?

Nie!

Pożary przecież wynikają najczęściej z nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Nieostrożność taka, to niedbalstwo, to lekkomyślność, to dobrowolne marnotrawstwo własnego mienia! Prawda, trudnoż stać nad każdym, pilnować go i przestrzegać, by nie był nieostrożnym dobrowolnie! Zgoda, ale są sposoby na wszystko!

Gospodarze przed złodziejami mają zamki, kłódki, psów i nawet nocne zaprowadzili u siebie po wsiach straże. A więc pilnują swego mienia dość starannie. Na to mają pomysły i sposoby. A przecież złodziej przeważnie mniejszą wyrządza szkodę ludziom i narazie tylko kilku mieszkańcom. I jednak, mimo to, wszyscy się solidaryzują, czyli jednoczą i zobowiązują się do wspólnej obrony przed napaścią złodziejów.

A czemuż dotychczas nie ujawnia się wśród gromad ludzkich powszechna, wszędzie, solidarność, związek do walki ze strasznym niszczycielem ogniem? — Czemuż? Czy taka walka trudniejsza, niżli ze złodziejem?

Nie, tylko trudno ludziom zdobyć się na nowy pomysł — i na pierwsze zapoczątkowanie dzieła nowego u siebie. O, tak, jest w ludziach leń duchowy i fizyczny, ten, tak zwany pospolicie **niechciej!** Jest ospałość, lekkomyślność, mazgajstwo, odkładanie dobrej roboty z dnia na dzień.

Tak, to wszystko prawda! Do nowości ludzie mają dziwną niechęć. Trudno ich ku niej ruszyć z miejsca. Zawsze znajdą wymówkę. A w tym razie, kiedy ktoś przekonywa o potrzebie założenia we wsi, lub miasteczku, straży ogniowej, najczęściej posypie się mnóstwo uwag przeciwnych i nawet mocno niechętnych — w tym rodzaju:

— A co mi to potem? Ja się pożaru nie boję. Niech ten straż zakłada, komu strach przed ogniem spać nie daje. Bo ja, dzięki Bogu, śpię dobrze i nie myślę o ogniu!

Skąd u niego ta pewność? Kto go tak ubezpieczył? — Ot, gada, aby gadać! Ale, jest w tem gadaniu jego dużo złej woli, złośliwości, nieuczynności i głupoty dobrowolnej, bo nie chce mu się myśleć, zastanawiać nad tem, co mówi. A dopiero kiedy bieda zajrzy w oczy naprawdę, kiedy pożar w mgnieniu oka zniszczy mu dobytek, wówczas lamentuje i krzyczy w niebogłosy: „Ludzie, ratujta! kto w Boga wierzy, ratujta mnie nieszczęsnego!"

Aha, wtedy, w nieszczęściu, kiedy ono **spadło na niego,** dopiero przypomniał sobie przykazanie miłości bliźniego. Żąda wówczas od ludzi, by go ratowali. Ale kiedy trzeba, żeby i on przyczyniał się do stworzenia ratunku dla dobra wszystkich,—wtedy nic nie myśli o przykazaniu miłości bliźniego.

O, tak, sobek uznaje przykazanie miłości bliźniego, lecz tylko w tym sensie, żeby inni według tego przykazania spieszyli mu z ratunkiem. Ale on sam, jako sobek, wcale nie myśli stosować się do tego przykazania.

— Ja co innego — myśli i mówi sobek — a wy co innego! Przykazanie jest dla wygody mojej, a nie dla waszej. Wy mnie służcie, bo was przykazanie boskie do tego nakłania, — ale mnie ono... nie obowiązuje!

Straszne, zuchwałe rozumowanie! Ale nawet nierzadko można się z niem spotkać u ludzi.

Inny znowu ucieka się do wybiegów zręcznych, byle uniknąć udziału w stworzeniu i utrzymywaniu straży ogniowej, więc mówi tak:

— Ja sam na strażaka nie pójdę, bo nie mam na to czasu, ale i chłopca swego nie dam, bo mi ciągle w domu potrzebny; zresztą chodzi mi i o to, żeby się nierozłachał, bo jak tylko nawyknie do uczęszczania na różne próby i ćwiczenia, to już go żadna siła nie zatrzyma w domu, ciągle znajdzie wymówkę i każdego wieczora wymknie się z domu. Młodego trzeba pilnować, więc go nie dam do straży. Wreszcie na co się zda straż ogniowa? To tylko zabawka dla próżniaków i parada dla galantów, lubiących się stroić w mundury i czapki błyszczące! Co ma się spalić, to się spali, choćby sto straży zbiegło się do ognia! Mnie na straż nie weźmiecie, — nie głupim. Kto się chce bawić w straż, to niech się bawi, ja mu nie zabraniam, — ale ja i mój chłopak nie

pójdziemy do was i grosza nie dam na tę zabawkę próżniaków! To sobie z głowy wybijcie!

I tak myślących ojców mamy, niestety, bardzo dużo!

Prawda, oni ciemni, nie wiedzą, co mówią. Jak tu ich ukarać, gdy ich pożar nawiedzi i uczyni nędzarzami?

Zapozwoleniem! Nie uniewinniajmy zbytnio takich gadułów! Oni wiedzą, co mówią! To nie głupi ludzie. Tylko złośliwi i bardzo sobkowaci!

Toć gdy dotknie ich budynków pożar, a straż wtedy pospieszy im na ratunek, czy oni tę straż od pędzą od ognia?

Chyba nie! Więc oni li tylko po sobkosku traktują sprawę: wy dla mnie, ale ja nie dla was!

Co z takim sobkiem uczynić?

Musi być ukarany!

Ale jak?

Jest zdanie bardzo stare, które tak uczy: **„pracuj, a Bóg ci dopomoże!**

Byłoby przeto zuchwalstwem mówić tak: **„leń się, próżnuj, a Bóg ci i w takim razie dopomoże!“...**

Nie! Rozumiemy przecież doskonale, że Bóg nie chce dopomagać dobrowolnym próżniakom, niechciejom! — „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“ „Co posiejesz to zbierzesz“.

Jeśli więc Pan Bóg i życie nie sprzyja próżniakom, niedbaluchom, — to czy godzi się społeczeństwu naprzekór Bogu okazywać szczodrobliwą hojność tym dobrowolnym ospaluchom?

Mickiewicz w „Dziadach“ straszne włożył w usta Widma wyroki:

„Sprawiedliwe zrządzenie boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nie pomoże“...

A czy jest człowiekiem, szanującym prawa Boże i społeczne ten, który dobrowolnie pielęgnuje w sobie sobkostwo, nie chce należeć do społeczności i nic dla jej dobra nie myśli uczynić, a jedynie przypomina sobie tę społeczność wówczas dopiero, kiedy sam od niej pomocy żąda?

Nawet niepodobna uwierzyć w to, iżby którykolwiek sobek naprawdę był tego zdania, że, istotnie, straż ogniowa na niewiele się przyda. Bo wszakże, to jeszcze nie dowód, że tu i owdzie, choć straże ogniowe działały, jednak pożar rozszalał się potężnie i zniszczył mnóstwo budynków!

Toć straż straży nie równa. Bywają straże rozmaite. Złe i dobre, pilne i niedbałe, nieporządnie zorganizowane i nieudolnie prowadzone, — oraz doskonale zjednoczone, a wspaniale kierowane.

Prawda. Każdy to przecież łatwo rozpozna i porówna. Do tego nie trzeba uczoności, wystarczy mieć rozum zwyczajny. A sobkom go nie brakuje, gdy jeno chcą sobie dogodzić. Wiedzą oni, kogo i o co prosić, gdy ich bieda nawiedza. Tylko to źle, że są głusi, ślepi i niby głupi, gdy od nich kto żąda pomocy.

Dla takich sobków nie wolno być pobłażliwym! Ale o tem — potem. A teraz rozprawmy się ze strażami ogniowemi, bo, istotnie, są między niemi lada jakie, wcale nie zasługujące na pochwałę!

Najpewniej będzie, gdy prawda życiowa do nas przemówi.

W Rykach, miasteczku, położonem w starostwie garwolińskiem, wszczął się pożar zapoczątkowany przez małe dzieci, bawiące się zapałkami, dnia 14-go kwietnia o godzinie 2-ej po południu. Trwał tylko półtorej godziny i w tak krótkim czasie potrafił zniszczyć 257 domostw, 9 świń, 12 krów, 15 kóz i jednego konia!

Straży ogniowych przybyło na ratunek kilka. Ale widocznie była też straż miejscowa, choć o niej korespondenci piszą jakoś niewyraźnie. Widocznie mają coś w myślach swoich o niej niebardzo pochlebnego, lecz tają! Niedomówienia w takich razach o tak niezbędnej organizacji są chyba wykroczeniem nagannem. Otóż w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 17 kwiet. (№ 107) czytamy takie szczegóły, które tu **dosłownie** powtarzamy: „...**nie doszłoby do katastrofy, gdyby ratunek był inny,...** w godzinę, czy półtorej spłonęło prawie wszystko. **Głównie z tego powodu, że pierwszym ratunkiem zajęła się miejscowa straż ochotnicza...**

„Ale straż ochotnicza w pożarach szerszych **jest prawie do niczego.**“ — Tak pisze korespondent „Kurjera Warszawskiego,“ niejaki Stanisław Biernacki. — Każdy z jej uczestników płonie, kto się sam nie pali, temu goreje ciotka, teść, brat, lub szwagier. Każdy ciągnie w swoją stronę, których jest sto, bo płonie pół miasta i ze sto domów. Akcja się rozstrzela, miasto pali się, jak siarka, a pomocnicze oddziały z okolic nadciągają, tłukąc się po złych drogach, — już po wszystkiem.

„Ale gdyby nawet Ryki — piszę Biernacki — miały (u siebie) straż fachową (płatnych strażaków), nie amatorską (ochotniczą), **to i wtedy klęska** byłaby ciężka do opanowania z powodu braku wody narzędzi i lokalu straży, która wraz z narzędziami mieści się w drewnianej budzie, cudem tylko ocalałe od pożaru.... A pożar gaszono błotem...“

Tyle zdań podaliśmy z korespondencji S. Biernackiego.

A teraz przedewszystkiem wyrażamy żal do niego, bo... bałamutnie stan rzeczy przedstawił, bardzo bagatelizując znaczenie i... odpowiedzialność straży ogniowej.

Wszystko jedno, jaka jest straż, czy ochotnicza, czy najemna (fachowa), każda z nich tworzy jednakową drużynę spoistą, karną, zaprzysiężoną, obowiązaną przy swoim sztandarze stać wiernie, mężnie i ofiarnie, choćby przyszło nawet narazić się na kalectwo, lub utratę życia... A kto z druhów umyka z szeregów, biegnie samopas, jak mu się podoba,— to taki druh jest nie tylko najlichszym strażakiem, ale i — zdrajcą, bo haniebnie przeniewierza się przysiędze, sztandarowi i honorowi straży.

Licha ta drużyna, która ma takich strażaków. Zierzchność związku straży ogniowych powinnaby na mocy korespondencji S. Biernackiego przeprowadzić najściślejsze śledztwo w Rykach, sprawdzić stopień

winy tamtejszej straży i ukarać surowo winowajców.

Bo przecież jak w wojsku nawet ochotnikom nie wolno umykać i podług swej woli podczas wojny bronić ciotek, wujków — i szwagrów, tak i strażakom — ochotnikom nie wolno wydalać się z szeregów dla ratowania nawet rodzonego ojca! Bo taki każdy występek równa się zdradzie, podeptaniu świętości powołania strażaka!

Ale jest jeszcze inna straszna plama na straży ogniowej w Rykach, ujawniona przez S. Biernackiego.

Oto niezupełnie ściśle wyraził się, pisząc, że „pożar gaszono błotem“, bo przecież sam w tej samej korespondepcji („Kurjer Warszawski“ z dn. 17 kwietnia Nr. 107, strona 4-a) napisał tak:

„— Czy tu co w śródmieściu ocalało?— pytam

„— Tak, jedna restauracja. Właściciel obiecał strażakom-ochotnikom 50 butelek wódki i— udało się!...

„Po chwili—wyznaje dalej S. Biernacki — mam sposobność oglądać ową knajpę ocaloną. Ma osmolone futryny i odrzwia, zakopcony dach, część szyb wybitych i zdjęty szyld, ale wnętrze „funkcjonuje“ (jest czynne). Ponieważ innego tego rodzaju zakładu w Rykach niema, muszę sam skorzystać z jego gościnności, tembardziej, że pobyt mój w Rykach przeciąga się kilka godzin.

„Jakoż zakład funkcjonuje (restauracja czynna) i ma specjalne powodzenie (natłoczona). Badam grubą i niemłodą gospodynię o zasłyszany szczegół (o obiecanej strażakom wódce) przy ratunku. Gospodyni odpowiada niechętnie, ale wyraźnie: „Tak, tak, **trzeba umieć być wdzięcznym. Teraz nic niema darmo“...**

Aha, wylazło szydło z worka!

Za obiecaną wódkę straż ochotnicza potrafiła ocalić w środku miasteczka, w morzu płomieni, restaurację. Na taki ratunek, **zapłacony wódką,** znaleźli się strażacy i woda się znalazła! A dla ratowania innych domostw—już nie było strażaków, rozbiegli się do familjantów i wody już nie było,—jeno „błoto“.

Teraz, po tem wyznaniu okropnem korespondenta, już dostatecznie rozumiemy znaczenie jego słów, na początku podanych, tej osnowy: **„Spłonęło prawie wszystko. Głównie z tego powodu, że pierwszym ratunkiem zajęła się miejscowa straż ochotnicza“.**

Takie świadectwo okropne dla straży ogniowej w Rykach, napisane przez naocznego świadka, staje się dokumentem, potwierdzającym nasze żądanie, zwrócone do Związku św. Florjana w Warszawie, by najsurowsze przeprowadził zbadanie winy miejscowej straży i publicznie ukarał występnych!

Zatem bywają straże rozmaite! Ale przecież wszystkie powinny być jednakowo najlepsze moralnie i fachowo! Tego żąda od straży przykazanie boskie i społeczne, dobro ojczyzny i świętość przysięgi strażackiej!

Jednak musimy tu stwierdzić smutną prawdę. **„Jacy mieszkańcy — taka straż ogniowa“.**

Podług stawu — grobla! Wrona nie urodzi sokoła! Jeśli gromada kiepska, już ona nie zdobędzie się na straż dobrą! A więc miejscowa gromada jest odpowiedzialna za obyczaje swojej straży ogniowej!

Ryki niedbały o zaprowadzenie porządku w swojej straży ochotniczej, nie wglądały, jak ona się ćwiczy i jak szanuje swój sztandar i swoje przepisy!— a dziś, kiedy spaliły się do szczętu, to wołają do narodu o ratunek, o litość i ofiary obfite?

Azali mieszkańcy Ryk nie są **dobrowolnemi nędzarzami?** Azali nie mogli uniknąć tej klęski, a przynajmniej rozmiary jej bardzo umniejszyć? Mogliby, gdyby lepiej dbali o utrzymanie swej straży w należytych karbach. A że tego nie uczynili, — są współwinowajcami.

Taki wyrok o Rykach musi wydać opinja społeczna, która powinna być bardzo surową tam, gdzie trzeba szanować i oszczędzać dobro poszczególnych osób i całego narodu!

Teraz już wniosek sam nastręcza się słuszny:

Naród nasz musi zażądać od mieszkańców każdej okolicy, ażeby **wszędzie istniała straż ogniowa nie byle jaka, ale doskonale sprawna, uczciwa i wierna przysiędze.** I tylko taka okolica, nawiedzona pożarem, stanie się godną pomocy ze strony całego społeczeństwa, gdy przeprowadzone badanie stwierdzi, że wszyscy, a więc zarówno ogół miejscowy, jak i straż jego, najusilniej i najchwalebniej byli przygotowani do walki z żywiołem i tę walkę do końca prowadzili bez żadnego zarzutu! A gdy badanie wykaże błędy, niedbalstwo, lekkomyślność — złą wolę, — to społeczeństwo surowej udzieli nagany i wszelkiej pomocy odmówi!

Pobłażliwość ślepa, leniwa, równa się niedołęstwu, otaczającemu opieką występek, nagradzającą niedbaluchów, filutów, wyzyskiwaczy, — słowem „nędzarzy dobrowolnych“.

Kto takich nędzarzy nagradza, sam staje się nędzarzem moralnym!

WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

— Dnia 20 kwietnia o godzinie 4 i pół po południu przybył do Warszawy Edward Benesz, minister spraw zagranicznych państwa Czechosłowackiego, nie tyle w odwiedziny do rządu polskiego, jak raczej gwoli porozumienia się w niektórych ważniejszych sprawach politycznych i handlowych. Jednak przy tej sposobności zarówno minister Benesz, jak i nasz rząd omówili gruntowniej potrzebę nawiązania ściślej łączności w zabezpieczeniu swoich krain przed wspólnemi wrogami. Dlatego Niemcy i Anglja są bardzo przejęte pobytem Benesza w Warszawie. Więcej o nim powiemy za tydzień.

— We Francji prezes ministrów Herriot podał się do dymisji. Po nim stanął na czele nowego rządu Pęlewe. Głównemi pomocnikami jego są: Brjan i Kajjo.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr. Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orlem Białym“ Bychawa.